

Rozpędzona kula śniegu, czyli moje życie w pigule

Zjadam już piętnastą śliwkę. Zrywam je z drzewa w ogrodzie mamy.

Śliwy są leciwe, dość niskie, powykręcane ze starości. Przedwojenne? Sięgam po owoce bez wysiłku i nawet nie wycieram ich o spodnie. Jak taką śliwkę węgierkę nacisnąć odpowiednio, pęka na pół, ukazując zielonobursztynowe wnętrze. Węgierki, te prawdziwe węgierki, są słodkie, mają specyficzną, lekką goryczkę i niepowtarzalny aromat! Pod fioletową skórką, cierpką i gorzkawą, tkwi mięsista niespodzianka, rozlewająca się w ustach słodko–kwaśno, jeśli są dojrzałe, i bardzo słodko, jeśli są po prostu — dojrzałe. Tylko z takich węgierek powidła są świetne. Brązowe, skarmelizowane, gęste.

Jest wrzesień. Objadam się tymi śliwkami, bo zrywam je na powidła i „krótkie” dzemy. Już nie mogę się doczekać smażenia, gadania, mycia spirytusem słoików. Całego tego obrzędu. Późnopopołudniowe słońce grzeje mnie w plecy. Lekki, ciepły wciąż wiaterek szmerze w gałęziach. Tak tu spokojnie...

Już ponad rok, odkąd tu jestem, i nie wyobrażam sobie, jak mogłam żyć w Warszawie — mieście rozpędzonych samochodów, rozpędzonych ludzi? Wśród krzykliwych reklam, obcego mi coraz bardziej świata, którego byłam fragmentem... rozpędzoną kulą? Jak spędziłam tyle lat bez mamy, śliwek, Rozlewiska, Kaczki Obrażalskiej, Piernackiego, Kaśki, Funia, Mazur...?

— Dzieci! Czy wyście, kurwa, pogłupieli?!

Prezes był naprawdę zły. Widać było, jak mu żyłka nabrzmiała przy kołnierzyku. Kiedyś chyba bym coś powiedziała, uspokoiła go, bo takie uniesienie grozi zawałem. On jest w grupie ryzyka. AA. Nie, nie alkoholik. Owszem, lubi „dać w rurę”, jak sam mówi, ale to AA to akurat od: Ambitny Aktywny. Do tego dochodzi kawa — za mocna, za słodka, za dużo. Papierosy — za mocne, za dużo, za często. Stres ponad miarę. Zero umiejętności „odpuszczenia”, „zluzowania”.

Wszystko jest na hiperpowadze, hiperobrotach i w hipertempie.

Rozwiedziony. Niedawno, bo żona była z tych wytrwałych, ale jak długo można czekać na faceta? Penelopa czekała dwadzieścia lat, a ta, Zofia jej było, nie miała tyle cierpliwości. Do dwudziestej sama. Na ferie z dziećmi sama. Do teściów na dwudziestolecie sama, bo firma była w Krakowie na festiwalu. Z Jaśkiem do ortodonty sama. Kamilę rodziła sama, bo on — Prezes — był wtedy

z Ważnym Klientem na golfie. W końcu miły kolega z dawnych, licealnych czasów rozgonił tę jej samotność. I już!

Cóż, Prezes też święty nie był, ale taki znowu latawiec też nie, choć „chciałaby dusza do raju”. No, bo kiedy?! Gdzie?! Przecież na dupy też trzeba umieć latać! Mieć chociaż czas. Czasem jakąś skubnął, ale tak „po towarzysku”. Biedny pracoholik.

Fakt. Żyjemy dzięki firmie, a firma to my. Czyli: Prezes, Wiktor (Wiceprezes, czyli „Vicek”) i personel. W nim — ja. Kilka dobrych komputerów, najlepsze drukarki, kawiarka i kuchenka, bo niektórzy nie lubią napojów z tej durnej maszyny nalewającej bezduszną kawę do bezduszných kubeczków.

— Nie te kolory zamawiał klient! Czy wy, kurwa, śpicie? Pani Jola dopiero co zwróciła mi uwagę! — indyczył się wciąż Prezes.

Za często ostatnio używa tej „kurwy”. No, ale „kurwa” weszła na salony! Nawet wielkie damy, aktorki, dziennikarki szczycą się tym, że używają plugawego języka. Nasz Prezes to taka wielka dama i uważa, że mu z tym do twarzy. A niech tam!

Trzy małpy we mnie — „Nie mówię”, „Nie widzę”, „Nie słyszę”. Z racji stażu to ja rzadko biorę udział w takich akcjach. Nie muszę... Mam czterdzieści parę lat i wiem (cholera jasna!), że jestem najstarsza w firmie. Nie przypilnowałam Sławki i czuję się winna jej błędowi. Sławka ma nos jak gałka hamulca od karuzeli, bo poryczała się w poczuciu winy jak mała. Kiedyś też tak reagowałam. Sądziłam, że tak wygląda odpowiedzialność — przejmować się własnymi błędami, do łez. Ojca to strasznie wkurzało i powiedział mi kiedyś, że „odpowiedzialność to skupienie, rzetelne wykonanie, poświęcenie czemuś maksimum uwagi, i wtedy nie potrzeba beczeć”. Tak, pryncypialny to on był. Matematyk, w systemie zero-jedynkowym.

Sławka młoda jest i właśnie „bierze w dupę od życia”, jakby powiedział tato. Czasem tak się wyrażał i zaraz potem tłumaczył, że u niego w partyzantce tak się mówiło, i żeby nie było, że on tak mówi, „to tylko cytat!”.

Pracuję w firmie, jakich tysiące na świecie. Agencja Reklamowa Hop–Art Media Sp. z o.o. Czyli: „Eksport, import, aport i rapaport. Tańczy, śpiewa i stepuje, krawaty wiąże i przerywa ciężę”. Robimy za pieniądze wszystko. Wszystko! Nie, nie jesteśmy „jednakowoż” Agencją Towarzystką, choć i u nas rządzi pieniądź i młodość. Wszędzie rządzi pieniądź i młodość! Ja też muszę być młoda, bo inaczej jak mam być kreatywna? Nikomu do łba nie przychodzi, że można mieć osiemnaście lat i być psychicznym starcem. Można być na emeryturze i tryaskać pomysłowością, być nowoczesnym i kreatywnym.

Kiedys wygłosiłam taki tekst, że — sądziłam — powalę wszystkich na kolana: „Wielcy tego świata, twórcy wiekopomnych dzieł, które pozostaną na długo w ludzkiej pamięci, to na ogół twórcy z doświadczeniem i życiową mądrością, jakiej nabywa się latami, pracując, obserwując i myśląc. Weźmy na przykład Beksińskiego, Dudę–Gracza, Kiliana, Preisnera, Szop...”

— Gosiu, kochanie — odezwał się przy wszystkich Prezes — nasze dzieło ma przetrwać kampanię reklamową. Przynieść forszę nam i producentowi. Potem „nasze wiekopomne dzieło” może sobie iść na śmietnik.

Moja błyskotliwa inteligencja już wie, że Prezesowi zawsze przyznaje się rację, więc zwarłam kły i, patrząc na niego jak na bohatera, rzekłam:

— Tak... W naszej branży tworzymy rzeczy o chwilowej wartości. To fakt!

Wieczorem, w domu, wciąż czułam się tak, jakbym go publicznie pocałowała w dupę. Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że muszę uważać, iż moja pozycja jest zagrożona, bo ja nie jestem startującą do żłobu siusiarą, a dojrzałą kobietą, która musi udowodnić swoją wartość nie tylko tym, co robi, niestety, lecz także tym, jak wygląda i jak myśli.

— Dzieci! — Prezes tak czule do nas mówi, kiedy jest zły — rozejrzyjcie się, jak wyglądają pracownicy agencji reklamowych. To najlepsze młode kadry! Właśnie ta dziedzina wymaga odwagi, nowatorstwa, ataku! Jesteśmy żołnierzami, zdobywamy w imieniu klienta rynek. To walka. Trzeba być na topie!

Siedziałam i wydawało mi się, że słucham współczesnego Jaruzelskiego. Pieprzenie. Zaraz się zbłąźni, więc podrzucam:

— Myśleć i widzieć trzeba nowocześnie!

— Właśnie. Słusznie Gosia podpowiada. Macie urządzać sobie pranie mózgu!

— ...burzę — ratuję go.

— No, mówię. I nadążać! Bo kto ma to zrobić, jak nie młody narybek? To wy! Załatwiam wam wyjazdy, szkolenia, ale macie sami kontrolować stan! To era młodych! Widzieć, słyszeć i wyprzedzać! Top, trendy! To droga do sukcesu!

O Matko! Ale pieprzy. A Leonardo da Vinci? Był stary i nienowoczesny, ale jak on myślał! Nie mogę się wychylać. Żal mi Prezesa. Chce dobrze. Głupi nie jest, bo utrzymujemy się w siodle, ale po co takie zebrania?

Na ostatniej imprezie Dużego Klienta nawalił się z Dużym u Hawelki w Krakowie. Pili Tequilę „Bum–bum”. (Tequila z seven–up wstrząśnięta i wypita haustem. Jak to wchodzi!). Wyli, tańczyli na stole i zaczęli kelnerów. Na Rynku zachowywali się skandalicznie. Trzecia rano. Policjant i tłumaczenie, że to moi szefowie (i ta cipka). Byłam załamana.

— Prezesie! No, po co to było? Musiałam się tłumaczyć szefowi Hawelki przy fakturowaniu kolacji. I to z tą durną dupcią tego ich szefa. Wstyd!

— Głupiaś. To jego asystentka. On ją uwielbia. Ona ze mną załatwiła interes, ja z nią. Więc ja z nim załatwiłem interes! I wszyscy są zadowoleni! A moja Agencja ma wyglądać światowo! Pamiętaj!

Fakt. Po dwóch tygodniach dostaliśmy nowe zlecenie od niego... Na duże pieniądze. Więc? Co jest ważne? Top, trend czy tequilla pita z kimś ważnym, adorowanie głupawej asystentki, rozkładanie kolan przed szefem, taniec na stole...? Nie nadążam.

Dostroiałam się. Zamykam dziób. Mimikra.

Z wyglądem to ja nigdy nie miałam problemów. Jestem taka w normie, ani niska, ani wysoka. Naturalna blondynka po ojcu. Zawsze oceniano mnie na znacznie mniej, niż głosiła metryka. Niestety, od paru lat utrzymanie tego stanu rzeczy wymaga ode mnie znacznie więcej wysiłku i pieniędzy. Kremy, maseczki, rewitalizacja to było dobre. Do czterdziestki.

Po przyjęciu z okazji dziesięciolecia firmy jeden z naszych klientów, niezłe już napity, wyrzucił mi w tańcu, że „on lubi takie wędnące lilie, bo z młodymi to różnie bywa: albo się ceregielą za dużo, albo technicznie kiepskie”. Nie mogłam dać mu kopa w krocze, bo to był dobrze płacący klient, więc wykręciłam się bólem głowy i ryczałam w domu do rana. Ze złości, że mu nie dokopałam.

Potem znalazłam najlepszy w Warszawie salon piękności i zostałam jego stałą bywalczynią. Dopóki to było solarium, owijanie rąk i nóg w folię (że niby od tego cellulitis nie powstaje), paznokcie, fryzjer, to jeszcze nie bolało. Szła na to moja dodatkowa pensja z głupotek, które pisałam do babskiego czasopisma.

Efekty były (wtedy) spektakularne — ładna skóra, nowe fryzury, doskonałe nawilżenie, bo pani Jola z gabinetu jak policjant odpytywała mnie, czy piję regularnie dwa litry wody dziennie. Później wcierała we mnie tyle kremów i żeli nawilżających, ile mieści się w drogerii na półce z napisem „Kremy”.

Nie mogę być „wędnącą lilią” ani dla tego palanta, ani dla kolegów z firmy... Moje rozliczne talenty, życiowe „ociosanie”, odwaga i spryt sprawiły, że szybko osiągnęłam wysoki status finansowy, a w firmie nic beze mnie się nie mogło stać. Byłam niekwestionowaną królową działu, liczono się z moim zdaniem i klienci często sądzili, że to ja jestem wiceprezesem lub kimś w tym rodzaju.

Nie chorowałam, Marysia była „odrośnięta”, więc żadnych zwolnień na grypy i biegunki. Nie byłam konieczna na zebraniach i wywiadówkach, bo moje dziecko było w szkołach nowoczesnych, w których rodziców nie wzy-

wano bez powodu. Zawsze dyspozycyjna, przygotowana na nowe wyzwania. Słowem ideał!!!

Taka kąpiel w maśle, wieczna świadomość zwycięstwa usypia czujność. Ale nie moja! Chyba nawet większą wagę niż do pracy przykładałam do obserwowania tego, co się dzieje dookoła mnie. Żeby się dostosować w porę, żeby szybko zauważyć nowe zagrożenia, nowe trendy, zareagować jak kameleon — tylko szybciej.

Koloseum, czyli pracowałam w TVP

Przed agencją pracowałam w telewizji. Taka biurowa dłubanina, pomoc w redagowaniu porannego programu. Miałam trzydzieści lat, mąż dawał mi solidne oparcie finansowe, a tę pracę traktowałam jako odskocznię po poprzedniej, nudnej robocie w wydawnictwie.

W domu królowała teściowa, córeczka nie wymagała ustawicznego niańczenia, mogłam się „realizować” i znajoma załatwiła mi tę telewizję. Pracy nie miałam zbyt dużo, wykorzystywałam więc mój znakomity zmysł obserwacyjny.

Na wszystkich stołkach szefów, dyrektorów, kierowników siedzą Władcy Dusz, wołając: „U nas króluje młodość!”, „Potrzebne nam młode buzie!”, „Świeże spojrzenie! Świeża krew!”. Sami za nic na świecie nie oddadzą stołka młodemu. Mają świetne samopoczucie i są przekonani, że mają wspaniały gust, są nieomylni, najlepsi i najpiękniejsi. Nadwaga, zły zgryz, nie najlepsze pomysły, nieświeży oddech — ich nie dotyczą! Młodzi zaś, dumni i szczęśliwi, że dostali się do telewizji, robią, co mogą, by zwrócić na siebie uwagę, zatrzymać na sobie oko kamery i szefa.

A mogą dużo! Nie mają skrupułów, oporów. Najpierw wykazują się. Jeśli mają czym, to OK, ale to nie wystarcza. Kierownicy, dyrektorzy niczym w koloseum lubią, jak młodzi powalczą. Młodzi dają się, jak zwierzaki. Zagryzają się na śmierć. Bardzo szybko łapią, czego tu się od nich oczekuje. Lojalność, przyjaźń, uczciwość wobec kolegów znika, gdy trzeba walczyć o uwagę szefa.

Patrzyłam na te lansady, na to upodlające lizodupstwo i żal mi ich było. Zastanawiałam się, kogo oni widzą rano w lustrze? Co mówią kolegom, koleżankom, którym, by coś wygrać, podłożyli świnię, na których donieśli, których oplotkowali, zniszczyli...? Dziwne dzieci. Rodzą się już z kłami. Zwycięzcy Wyciągu Szczurów.

Znacznie bardziej przykre było obserwowanie egzystencji rezydentek, które niczym się nie naraziły i trwają, bo są pracowite i lojalne. Godzą się na coraz gorsze

stanowiska, coraz gorsze płace, gorsze traktowanie, byle tylko przetrwać, bo gdzie one, starzejące się, mądre i pracowite, znajdują pracę? Na moich oczach rozgrywał się najgorszy spektakl upodlenia. Mądre, inteligentne, kompendia wiedzy o pracy w telewizyjnym medium są wobec młodszych koleżanek dość miłe, ale tylko tyle, ile wymaga podstawowa grzeczność. Boją się piranii. Piranie, młodziutkie i ładniutkie, są początkowo przymilne, z czasem jednak hardziej i pokazują, kto tu rządzi. Nieliczne mają tyle kultury, by szanować starsze koleżanki i liczyć się z nimi, a przynajmniej ich nie lekceważyć.

Największym przewinieniem w telewizji nie są błędy, potknięcia, tylko starzenie się. Stary wygląd, stare poglądy, choćby nawet na kulturę, stara szkoła — to grzechy niewybaczalne! Zostawiono dwoje, troje redaktorów „starych”. Resztę zastąpiła świeża krew. Czy lepsza?

Pamiętam takie zdarzenie z mojej pracy w telewizji. Kolega poprosił mnie, bym dostarczyła dyrektorowi projekt programu, który wspólnie przygotowaliśmy. Dyrektorem był młody, szczupły człowiek, blondyn o rozmarzonych oczach. Znałca literatury, który występował w programach opiniotwórczych. Kulturalny, inteligentny, mądry... Miałam wtedy nogę w gipsie, ale dość sprawnie poruszałam się o kulach. Podjechałam taksówką na ulicę J.P. Woronicza i pokuśtykałam do odległego bloku. Wejście na piętro i spacer słynnymi z długości korytarzami Telewizji Polskiej nie należały do przyjemności. Wreszcie zapukałam do pokoju dyrektora. Po cichym: „Proszę” weszłam i wyłuszczyłam, po co przychodzę. Odpowiedział, żebym poczekała na zewnątrz, bo on teraz nie może. Wyszłam. Oparłam się o ścianę, bo jedyna noga, na której chodziłam, była już porządnie umęczona. Ktoś z pokoju sąsiedniego wyniósł mi krzesło. Czekałam. Przygotowałam się na rozmowę o programie, dość ważnym społecznie. W rękę miałam projekt.

Po dwudziestu minutach ktoś bez pukania, znaczy — ważny, wszedł do Pana Dyrektora i, wychodząc, zaprosił mnie do środka.

Weszłam. Młody pan nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem, przeglądając papierki. Był błydy, rozczochrany, rozkojarzony. Podałam jego wyciągniętej dłoni nasz plan. Nie poprosił mnie, bym usiadła, tylko spytał, rzucając okiem na mój dokument:

— Czemu to redaktor X (mój kolega) nie przyszedł?

— Ma chorego tatę — powiedziałam to, czy też coś równie prawdziwego.

— Hmm... dobrze... — w jakimś dziwnym zamyśleniu powiedział Pan Dyrektor, ni to do mnie, ni to do dokumentu, który udawał, że czyta. — Dziękuję pani...

Wysłałam ogłupiała całkowicie jego... chamstwem. No tak, chamstwem! Tak by to nazwała babcia Eleonora, największa znawczyni dobrych manier w mojej rodzinie. Mógł zniszczyć nasz program merytorycznie! Proszę bardzo! Ale żeby trzymać mnie, z nogą w gipsie widocznym jak cholera, za drzwiami swojego gabinetu, za które wyprosił mnie, nonszalancko, wiedząc, że tam nie ma na czym usiąść... No, no! Ale panisko! Byłam zła na siebie, że nie chlusnęłam mu w twarz tego, co czułam. Wymagam od siebie i innych elementarnych zasad dobrego wychowania! Niech siedzi za biurkiem, gdy kobieta wchodzi. Trudno. Ale na jednej nodze ciężko jest, baranie, chodzić, stać, czekać na twoją łaskę. Pampers zafajdany.

Wtedy zadecydowałam, że nie wrócę na Woronicza czołgać się przed gówniarzami, lizać tyłków szefowym o niewyżytych instynktach władczych, do kolegów sinych z przerażenia, czy aby ja, nowa, im nie zagrażam. Rozmawiających ze mną czujnie, ostrożnie, bo a nuż capnę ich stołek. Lekceważącej mnie koleżanki, która awansowała na gwiazdę i teraz ledwo mnie dostrzega.

Prehistoria w Agencji, czyli poźółkła fotografia

Po telewizji zaczęłam nowe życie w Agencji. Byliśmy młodzi, bardzo chętni do pracy i kariery. Zupełnie nie czułam różnicy lat. No tak, byłam ciut starsza, ale jaka młoda duchem! Firmę tworzyliśmy od podstaw. Razem. Prezes miał jaśną wizję tego, co chce osiągnąć, więc praca była łatwiejsza.

Na nieformalnym spotkaniu, raczej imprezce w znanym pubie, popłynęła wódeczka i zaczęły się ocieranki, więc ustaliliśmy, że nie robimy z naszej Agencji burdelu. Nie obłapiamy się ani w pracy, ani poza nią. Chyba, że ktoś się zakocha... Potem wypiliśmy „za miłość” i w tak czystej atmosferze rozjechaliśmy się do domów.

Reklama! Taki modny kierunek! Taka widoczna wszędzie nasza praca! Banery, billboardy, reklamówki telewizyjne, ulotki i cały ten... chłam.

Pojawiły się pierwsze pieniądze. Wymieniłam samochodzik na samochód, dołożyłam się do domowego budżetu. Byłam z siebie dumna! Niestety, nikt w domu nie podzielał mojej radości, bo „przecież nie musisz tego robić”. Konrad od lat demonstrował swój żal, że nie jestem taką „żoneczką”, jaką chciał mieć. Najczulej wspominał te lata, gdy Marysia była malutka, a ja w kretonowej podomce czekałam w domu, pachnąca mlekiem. Nie dziwię mu się, może to i byłoby fajne, ale od kiedy poszłam do pracy, czułam swoją wartość. Lubię być chwalona, doceniana. Tato rozbudził we mnie ambicję. Tak już mam.

W uznaniu zasług szef zafundował nam wycieczkę w góry, na tydzień. Trzy lata pracowaliśmy prawie bez urlopów. Należało nam się.

Pensjonat — czar w góralskim stylu. Śniegu po pachy! Wszystko to poza sezonem. Tylko my i górkę, lasy, bezkresy... Zachowywaliśmy się jak licealiści. Hałaśliwie, z egzaltacją wstawialiśmy narty do komórki, dobieraliśmy sobie pokoje, żartowaliśmy z właścicielami, waląc do nich: „gazdo”, „gaździno”. Jak te durne cepry. Po zakrapianej kolacji zasnęłam już o dwudziestej pierwszej.

Na stoku, w kolejce do kibelka dowiedziałam się, kto kogo odprowadził do pokoju. Na przykład młoda sekretareczka naszego wiceprezesa, zwanego Vickiem, faceta mało przyjemnego, raczej mruka o dość trudnych manierach. Siup! I już była u niego.

— Żartujesz?! Ta cipcia? Pracuje toto w sekretariacie ledwie od miesiąca!

Dotąd była gońcem. Zastąpił ją Karolek, kiedy Vicek zażądał od Starego sekretarki, „bo się nie wyrabia z głupotami, a Kasia jest po technikum ekonomicznym i to z wyróżnieniem”. Wczoraj Vicuś poluzował ostro i odreagował stres z Kasią... I o co chodzi? Szybko zapomnieliśmy, a raczej przestaliśmy się dziwić. Jesteśmy nowocześni i wyluzowani. I na urlopie!

Na stoku czułam skrzydła. Jeździłam bardzo dobrze, miałam ładny kombinizon, starannie dobrane rękawiczki, szalik i czapę. Koledzy zgotowali mi aplauz po pierwszym zjeździe, bo pojechałam z nimi na sam szczyt i zjechałam najtrudniejszą trasą! Bez problemu. Kręciłam tyłeczkiem, spadałam w ostre doliny i zawijałam na zakrętach. Od miesiąca chodziłam na aerobik. Specjalny! Taki pod jazdę na nartach. Byłam rozciągnięta i nie miałam zakwasów. Szef wcześniej szepnął mi o tym wyjeździe:

— Wiesz, Gosiu, chcę dzieciakom zrobić frajdę. Jak myślisz, dać im forszę czy zafundować jakąś wycieczkę?

Wymyśliliśmy te narty... Większość mężczyzn z naszej grupy szybko znudziła się zjeżdżaniem. O wiele bardziej bawiło ich uczenie naszych młodych koleżanek narciarstwa i rozgrzewanie się grzanym piwem i herbatką „z prądem”. Na szczyt więc jechaliśmy we czwórkę: prezesi, ja i Karolek, znakomity narciarz.

Spokojnie i dostojnie zjeżdżaliśmy z Prezesem narciarskim baletem, przystawialiśmy w punkcie widokowym i podziwialiśmy ciszę i widoki. Wystawialiśmy twarz do słońca, łapiąc opaleniznę, i czuliśmy, jak spływa z nas zmęczenie. Cudowne śnieżne polany, choinki pod białymi czapami i słońce! Skrzące się radośnie i powodujące nagły przyływ optymizmu. Prezes wzdychał i mówił:

— Popatrz, Gośka. Żaden lodowiec w Austrii nie jest wart naszych gór. Jak tu ładnie! Te choinki wyglądają jak krasnoludy, a to nasze tatrzańskie powietrze...

Rzadkie chwile, kiedy czułam się taka swobodna.

Dzwoniłam do domu wieczorami i poza tym, że wszystko w porządku, niewiele się dowiadywałam. Marysia chwaliła się stopniami, opowiadała, na jakim filmie była z tatą i co babcia robi na obiad. Spokojna wracałam do świetlicy.

Nikt już nie chwalił moich umiejętności. Chłopaki, popijając każde słowo piwem, żartowali z koleżanek, robili się hałaśliwi i nastawiali muzykę, od której robiło mi się niedobrze. Dziewczyny bawiły się doskonale, dając temu wyraz chichotem lub głośnym, gardłowym śmiechem, brzmącym jak nawoływanie w puszczy. Zaczęłam flirtować z Prezesem przy barze, a po paru wódkach zatańczyłam z nim takie tango, że chyba trochę przesadziłam. Później pijany, idiotyczny seks w moim pokoju. Kompletnie niepotrzebny.

Powrót do Warszawy był przykry. Nie dlatego, że powrót do kieratu. Całe miasto pokrywała brudna papra, w niczym nieprzypominająca śniegu. Niebo, bure i ciężkie, szorowało po dachach najwyższych budynków. Z samochodu nie sposób było wysiąść suchą stopą. Ludzie pochyleni pod naporem wiatru i wewnętrznego ciężaru. Tylko wystawy, lśniące, kolorowe jak papugi, odporne na aurę, obiecywały przebrzmiałe hity za pół ceny. Zimowe wyprzedaże. Wreszcie towar idzie za prawdziwą cenę. Chodźcie, pieniądze! Chodźcie, ogłupiali klienci, kupować, co się da, bo tanio!

Jeszcze bardziej zniechęciłam to moje miasto, kiedy odstawiłam samochód do warsztatu. Wsiadłam do tramwaju. Jak ja dawno nie jechałam tramwajem! Nowoczesna linia, inne kasowniki niż za moich studenckich lat, kiedy to na taksówki nie było mnie stać. Przyglądałam się ulicom, ludziom, tramwajowi — jak dziecko. Wsiadłam i coś brzękło o trotuar. Moja szminka! Torebkę miałam rozciętą. Nic nie zginęło, widocznie jestem zanadto ruchliwa. Ale ciachnięta była na ukos!

— Szlag! — warknęłam, patrząc za odjeżdżającym wagonem. Kto inny będzie pożywką sukinsyna...

Szłam lewą stroną Marszałkowskiej, w kierunku placu Unii. Tę stronę lubię bardziej. Dostrzegłam nowe sklepy, wystawy wabiące obniżką. Zimno. Mokro. Obco. Zatęskniłam za samochodem, dającym mi większe poczucie bezpieczeństwa i ogrzewanie. Mój strój był nieodpowiedni na spacer po mieście w taki dzień. Chciałam jeszcze zajść do sklepu z indyjskimi ciuchami, ale zrezygnowałam. Rozpruta torebka w foliowej siatce, chłód i błoto pogoniło mnie do pracy. Jestem niedostosowana do miasta...